Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 31.

dnia 3. Lipca 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . . 2 zł.
półrocznie . . . . 4 zł.
rocznie . . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

TOM II.

(Ciąg dalszy).

Biedna dziewica, mimo iż ją wychowano w innej religji, uciekała się zawsze do Boga chrześcijańskiego, który od Jehowy wydawał jej się łagodniejszym, lepszym, szlachetniejszym. Swojego umiała bać się; chrześcijańskiego nauczyła się kochać. Do Niego modliła się w ważnych życia chwilach. Jego więc i teraz prosiła o siłę i pomoc.

Ciemno już było, gdy na duchu wzmocniona, łzy z oczu otarłszy, podniosła się z zimnych kamieni. Ledwie się do drogi obróciła, cichy okrzyk przestrachu z piersi jej się wyrwał...

Przed nią stał garbus.

— Panno Różo! — szepnął, usiłując ją za rękę ująć — nie lękaj się, to ja!

— Czemu mnie pan śledzisz, po co aż tu przyszedłeś?

— Nie pytaj mnie pani o to... Raczej zapytaj, czemu jesteś mojem światłem, a ja twoim cieniem, czemu bez ciebie życie jest mi ciężarem, czemu tylko tam gdzie ty, mogę znaleźć bodaj chwilowy pokój!

— Panie Henryku! czyż cię nie prosiłam, żebyś mnie nie prześladował, żebyś o mnie zapomniał? Tyleś razy przyrzekał, a jak pięknie dotrzymujesz!

— Daruj pani, lecz słowa twoje nie są sprawiedliwe... Ilekroć widzę cię szczęśliwą, lub przynajmniej spokojną, zawsze cię unikam, za to gdy cierpisz, obowiązek sumienia nakazuje mi nieść ci pociechę.

— Kto pana o to prosi?

— Moje sumienie, powtarzam, każe mi tak postępować... Ja wiem pani, jak okropnym był dzisiejszy dzień dla ciebie... Osoba z twojem sercem i twemi przekonaniami, nie może poślubić człowieka bez wyższych zalet, człowieka jak ów giełdzista, którego ojciec sprowadził. Ty panno Różo godnaś losu lepszego...

Urwał; ona miasto odpowiedzieć, cicho westchnęła. Garbus chciał dalej mówić; Róża jednak, jakby sobie nagle coś przypomniawszy, szybko zapytała:

— Czy masz pan jakie wiadomości o panu Gozdawie?

Na te słowa garbus cofnął się i zębami zgrzytnął.

— Czemu mnie pani pytasz o niego?

— Bo wiem, że go pan znasz, żeś był jego kolegą szkolnym, i że teraz, mimo, iż nic przeciw tobie nie zawinił, starasz mu się szkodzić. Że mój ojciec go nie lubi, wcale się temu nie dziwię, pan Gozdawa bowiem wojnę mu wydał, ale ty panie Henryku za cóż go tak nienawidzisz?

— Kto pani powiedział, że go nienawidzę?

— Kto? moje przeczucie... Zresztą i mój ojciec nie raz rzuca słowa, z których można wiele się domyśleć... Nie zaprzeczysz pan, że wszystko, co ostatniemi czasy mój ojciec przeciw panu Gozdawie przedsięwziął, było dziełem twoich rad i namów... Nie jest to zatem zasługa, za którą bym mogła być wdzięczną...

— Jakto, więc ten człowiek tak panią obchodzi, że przenosisz jego nademnie?

— Na cóż zapierać się tego — z godnością odpowiedziała — o czem pan sam aż nadto jesteś przekonany?... Zresztą ja uczuć czystych i niesamolubnych nie myślałam się nigdy wypierać...

— Więc go kochasz, kochasz panno Różo?

Schyliła głowę i zamilkła.

— O! tak, pani go kochasz! — zawołał głosem urywanym — a mimo to dziwisz się, czemu go nienawidzę! Alboż za to samo nie powinienem być jego wrogiem śmiertelnym? Czyż zato, że mnie zabił, a ciebie zranił, nie powinien bym mu nawet śmierci życzyć?

— Panie Henryku! — krzyknęła przerażona.

— Tak jest, ja mu śmierci życzę, bo taki potwór żyć nie powinien! Sierota na świecie, miałem tylko ciebie jedną, a on samem zjawieniem się swojem zabrał serce twoje... Ty biedna, przez tych zapoznana, wśród których wzrosłaś i żyjesz, szukałaś duszy szlachetnej i tkliwej, lecz zamiast tam się zwrócić, gdzie byś ją była znalazła, dałaś się oczarować przez tego samoluba! Ja gotówbym dla ciebie wyrzec się wiary i ojczyzny, on nie chce dla ciebie zapomnieć choćby nienawiści, jaką wre do całego twego plemienia... Patrz kobieto na różnicę między mną a nim, i przekonaj się, kto cię kocha!

Mówiąc to przytrzymał ją silnie za rękę, którą pochwycił i wzrok pałający wlepił w jej twarz bladą. Przestraszona oglądnęła się jakby pomocy szukając.

— Tak jest, ja cię kocham tą miłością ślepą, po za którą na ziemi nie ma szczęścia prawdziwego, a chociaż Bóg nie dał mi piękności zewnętrznej, rozważ kobieto, że dał mi w zamian duszę piękną i wzniosłą, która się do śmierci nie zmieni... Jeźli tu zostaniesz, prędzej lub później ulegniesz woli ojca i będziesz najnieszczęśliwszą, przeciwnie gdy mnie zaufasz, stworzę ci raj na ziemi! Pójdziemy w świat daleko, i przez nikogo nieznani, będziemy szczęśliwi!

Namiętne to przemówienie jakoś dziwnie brzmiało w ustach garbusa. To też zamiast wywołać skutek zamierzony, przyczyniło się raczej do przywrócenia Róży utraconej chwilowo przytomności. Patetyczność z jaką mówił, tak dalece ją rozweseliła, że zapominając o przestrachu, który ją niedawno ogarnął, rzekła swobodnie:

— Ach! daj pan pokój tym zaklęciom, które nie wzruszą serca jak moje kamiennego i puść mnie, gdyż muszę do domu wracać. Rodzice gotowi postrzedz, że mnie nie ma...

— Więc wolisz być żoną tego żydka wiedeńskiego niż moją? O! kiedy tak, to chyba siłą zmuszę cię do porzucenia domu twego ojca, bo ty musisz być moją!

Tak dzikim głosem to wypowiedział, i tak silnie za rękę ją ścisnął, że biedna dziewica aż krzyknęła.

W tejże chwili, jakby z ziemi wyrosła, zjawiła się przed nimi postać nowa. Na jej widok garbus w tył odskoczył, myśląc że to upior. Nie był to jednak duch bezcielesny, lecz mieszkaniec Ekonomówki, który siedząc na kamieniu za kaplicą, odpoczywał po dłuższej przechadzce. Usłyszawszy znajome sobie głosy, zachowywał się czas jakiś spokojnie i wyszedł dopiero gdy osądził, że pojawienie się jego jest niezbędne.

— Daj pan pokój tym andronom — rzekł do garbusa się zwracając — i raczej popatrz w źwierciadło... Ono ci powie najlepiej, czy stworzenie tak cudowne, jak panna Róża, mogło by kiedy taką figurę pokochać... Wybij to więc sobie z głowy i nie napastuj istoty świętej, której ja życie zawdzięczam!

To powiedziawszy, zbliżył się do Róży i z uszanowaniem w rękę ją pocałował. Potem tak do niej przemówił:

— Dowiedziałem się tu przypadkiem, że rodzice chcą cię za mąż wydać... Oprzej się ich woli panno Różo, bo tego sam Bóg od ciebie żąda!... Dziewica, jak ty szlachetna, musi być szczęśliwą! Więcej nie mogę dziś powiedzieć, ale ufaj pani człowiekowi, który ci jest wdzięcznym...

Nagłe zjawienie się nieznajomego i jego słowa takie na Rózi wrażenie uczyniły, że nie wiedziała co odpowiedzieć. Podała mu tylko rękę, którą on znowu ucałował, poczem szybko na drogę wybiegła.

Garbus chciał za nią pospieszyć.

— Pan ze mną zostaniesz — rzekł nieznajomy za ramię go przytrzymując. — Mam ci coś ważnego powiedzieć.

Głos jego tak był stanowczy, że wszelkie sprzeciwianie się, byłoby niemożliwe. Garbus został też słowa nie przemówiwszy, i gdy nieznajomy ku miastu się zwrócił, szedł obok niego w milczeniu, od czasu do czasu ukośne spojrzenie za siebie rzucając.

Chciał koniecznie Różę zobaczyć, która już

utonęła wśród cieniów nocy zapadającej. Przestraszona, że się tak spóźniła, biegła coraz szybciej, często do piersi rękę przyciskając, jakby w obawie, by z niej serce nie wyskoczyło. Wrażenia dnia tego były tem silniejsze, że niespodziewane, to też i serce niespokojnie drgało w jej łonie...

Na szczęście przybiegła do ogrodu nikogo nie spotkawszy. Anioł Stróż zawiódł ją aż do drzwi jej sypialni, którą wychodząc zamknęła. Bez hałasu weszła do środka, a lampę zapaliwszy, usiadła znowu przy sekretarzu. Rodzice zajęci tymczasem gościem dostojnym, byli pewni, że ich córka marzy ciągle o narzeczonym...

Wyjęła pamiętnik i z pospiechem nerwowym napisała:

„Przed chwilą spotkałam tego człowieka z Ekonomówki, którego w tyfusie On ratował, a jam pielęgnowała. Powiedział, że sam Bóg odemnie żąda, bym się woli ojca oparła, i kiedyś przyrzekł mi więcej wyjawić... Nie rozumiem co to znaczy, ale przeczucie mówi mi, że ten człowiek jest mi życzliwy i żem słuchać powinna... Uczynię więc, czego odemnie żąda!“...

Po tem postanowieniu na duchu wzmocniona, poszła do pokoju rodziców, gdzie ojciec i narzeczony z uniesieniem ją przyjęli. Jedna tylko matka śledziła ją uważnie, jakby jej nie dowierzała. Przeciwnie mężczyźni byli pewni, że Róża jest najszczęśliwszą.

Podczas gdy w pałacu Sterna takie rzeczy się dzieją, nieznajomy i garbus, zbliżywszy się do przedmieścia Ludaczowa, weszli do domku, który był własnością pewnego szlachcica. Po jednej stronie mieszkał gospodarz, bednarz z zawodu, po drugiej dawny dzierżawca Ekonomówki. Gdy się w pokoju znaleźli, nieznajomy poprosiwszy gościa, żeby usiadł, w te słowa przemówił:

— Znamy się panie Dobrzyński nie od dziś, nawet kilkanaście razy rozmawialiśmy z sobą, a jednak dotąd nie postąpiliśmy ani o krok naprzód... O ile mi się zdaje, pochodzi to z tąd, że pan mnie nie ufasz, a ja panu... Sądzę, że powinno by to raz ustać.

— Ja tylko tym ufam, którzy mnie ufają — garbus odparł z nieznacznym uśmiechem.

— Jeżeli tak, więc dam panu dowód zaufania i powiem, co mnie w te strony sprowadziło. Oto pomóż mi panie Dobrzyński wyświecić, kto jest właściwie Jakób Stern.

— Kto jest Stern?

— Nie inaczej, kto jest Stern! — powtórzył z naciskiem. Zaraz jednak, jakby się poprawiając dodał: — Kto on jest, ja sam wiem najlepiej, ale ponieważ bez dowodów nie mogę rzucić się na takiego potentanta, który całym powiatem trzęsie, więc proszę pana, jako człowieka uczciwego, byś mi pomógł ostatecznie zbadać tajemnicę, od której wiele zawisło.

— Cóż więc mam uczynić?

— Staraj się pan być ze Sternem w łaźni, i przekonaj się naocznie, czy z tyłu na lewej ręce ma on bliznę jakby od kuli.

— A wolno wiedzieć na co tego?

— Choćby tylko na to, żebyś się pan mógł zemścić na człowieku, który tobą pomiatał jak najnędzniejszem stworzeniem, i o którem wiesz, że działalność jego jest zgubną dla kraju! Ja go znam, ale moje własne przekonanie nie wystarcza... Gdym go spotkał przed Ekonomówką i do niego przemówił, uciekł przestraszony, jakby go całe piekło goniło, a w czternaście dni po tem widzeniu, w nocy i wśród wichru najstraszliwszego, ktoś mi dom na cztery rogi podpalił. To jego sprawka, jego! Tam gdzie Ekonomówka stała, dziś zgliszcza leżą, lecz na szczęście jam się nie spalił, jak się może tego spodziewał i teraz śledzę jego kroki... Nie żądaj panie Dobrzyński, bym ci już dziś wszystko wyjawił, sądzę jednak, że sama moja obecność w tych stronach świadczy o ważności sprawy, której się oddaję... Przecie ludzie nie zamieszkują w sposób tajemniczy domów opuszczonych... a jeźli to czynią, mają zapewne w ręku klucz do niejednej zagadki... Ufaj mi więc i zrób o co cię proszę, a zemsta twoja będzie olbrzymią.

Garbus słuchał, jednego słowa nie straciwszy. Z dawien dawna domyślał on się jakiejś tajemnicy, a po owej nocy w kawiarni pod „Dziką wroną“ strawionej, kiedy to Stern do hotelu wracając, mówił coś o policji i mężczyźnie z czarną brodą, przypuszczenia jego jeszcze wyraźniejsze kształty przybrały. Po tem, co mu nieznajomy teraz powiedział, chwili już nie wątpił, że między nim a Sternem jest w rzeczy samej jakaś ważna tajemnica, której rozwiązanie od niego zależało.

Że Sterna nienawidził, rzecz łatwa do zrozumienia; że z najwyższą rozkoszą patrzyłby na jego upokorzenie, o tem wątpić nie można, ale z drugiej strony, gdy pomyślał, że mszcząc się na

nim, musiałby jego dom porzucić i Różę na zawsze pożegnać, uczuł, że mu do tego brakuje odwagi. Nie chcąc atoli zdradzić się, postanowił odegrać rolę wspaniałomyślnego.

— Choćbym rad panu dopomódz — rzekł — żadną miarą nie mogę tego uczynić, to bowiem, czego odemnie żądasz, było by szpiegostwem, a ja czynem nikczemnym nigdy się nie splamię.

Nieznajomy spojrzał mu bystro w oczy, ironicznie się uśmiechając:

— Nie uczynisz pan, mimo że tu idzie głównie o pannę Różę?

— Co, o nią?

— Tak jest o nią!... Jeżeli masz pan do niej przywiązanie, zrób to dla niej.

— Któż mnie jednak zapewni, że to, coś pan powiedział, jest prawdą?

Nieznajomy podniósł rękę do góry i rzekł poważnie:

— Przysięgam, że nie kłamię!

Garbus był zwyciężony. Dla namiętności, która go pożerała, gotów był wszystko uczynić, nawet dopuścić się podłości... Służył Sternowi, brał od niego pieniądze, nie raz i nie dwa zapewniał go o swojej życzliwości, a teraz postanowił uczynić zadość woli nieznajomego.

W kilka godzin później, Róża zasypiała mówiąc sobie, że da kosza panu Salomonowi, a garbus rozbierając się po raz setny powtarzał, że dla dobra tej, którą kocha, gotów zgubić nawet jej ojca, Jakóba Sterna.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

HISTORJA PARYŻANKI

NAJNOWSZA POWIEŚĆ OKTAWJUSZA FEUILLET.

(Ciąg dalszy.)

III.

Że kobieta zrzuca z siebie chętnie jarzmo miłości małżeńskiej, nie należy z tąd wnioskować, jak to czynił pan de Maurecamps, iż wyrzeka się tejże na zawsze. Po pierwszych rozczarowaniach małżeństwa źle dobranego, kobieta otrząsa się z przykrego wrażenia, zbiera myśli, zaczyna na nowo snuć marzenia, które jej przerwano, odtwarza w duszy ideał na chwilę zachwiany i mówi sobie, nie bez słuszności, iż niepodobna aby świat cały robił „Tyle hałasu o nic“, aby ta potężna namiętność, zapełniająca karty historji, również jak i karty opowiadań bajecznych, aby ta miłość wyspiewana przez wszystkich poetów, unieśmiertelniona przez wszystkich artystów, wiecznie zajmująca nie tylko ludzi, ale nawet Bóstwa Olimpu, była li czczem urojeniem, przechodzącym i nieprzyjemnym kaprysem; nie może przypuścić, aby tyle hołdów składano bóstwu pospolitemu, aby tak cudowne oltarze stawiano od wieków po wieki nikczemnemu bałwanowi. Miłość więc zostaje mimo, i po wszystkiem najciekawszem studjum jej myśli, jedynem pragnieniem jej serca. Wie, że istnieje, że inni ją znali i trudno jej powiedzieć sobie, iż będzie żyła i umrze, nie zaznawszy wcale tej rozkoszy.

Nie da się zaprzeczyć, iż niebezpiecznem jest dla młodej kobiety, po gorzkich zawodach, tak zwykłych w stanie małżeńskim, żywienie w głębi serca obrazu miłości dotąd nieznanej, czarownej, idealnej; ale stokroć niebezpieczniejszą jest utrata wszelkich szlachetnych ideałów.

Pani de Maurecamps zawiązała w tej epoce przyjaźń ścisłą z panią d'Hermany, starszą od niej o dwa, lub trzy lata. Przyjaźń, jest to pokusa naturalna u kobiet uczciwych, i które chciałyby zostać takiemi, a których serce uczuwa próżnię bolesną. Jakkolwiek uszczęśliwiona wywalczoną niezawisłością, Joanna miała zaledwie lat dwadzieścia cztery, i mimo całej uczciwości patrzyła z przestrachem, na drogę życia tak długą jeszcze, którą przebiedz miała samotna, opuszczona, i gorzko rozczarowana. Ani matka, której oszczędzała skarg i zwierzeń bolesnych, aby nie myślała, że jej wyrzuca, iż tak źle dla córki wybrała, ani syn, za mały, aby mógł ją zajmować wyłącznie, ani nawet jej wiara, już podkopana cokolwiek, przez ironiczną obojętność świata, w którym się obracała, nie mogły zaspokoić, tego palącego pragnienia, aby znaleść kogoś, przed kim mogłaby się zwierzyć, wylać z tem, co jej na sercu ciężży, jednem słowem, mieć punkt oparcia w tem biednem życiu. Z całą więc żarliwością, duszy czułej i cokolwiek egzaltowanej, rzuciła się ku temu nowemu uczuciu, które miało być jednocześnie jej pociechą i jej tarczą.

Pani d'Hermany, którą zaszczyciła swoją przyjaźnią, była wtedy, jak i jest obecnie, osóbką nadzwyczaj ponętną; należała do rodzaju nadzwyczaj rzadkiego i przedziwnego blondynek ognistych; nie będąc zbyt wysoką, imponowała samą doskonałością niezwykłej urody, blaskiem fosforycznym oczów dużych, ciemno fiołkowych, dziwną jasnością czoła wyniosłego i pełnego inteligencji, w kąciku zaś jej ust karminowych, było pewne lekkie

zagięcie, jakby wyżłobione głęboką pogardą. Była ona, jak mówiono, bardzo nieszczęśliwą, i pewne podobieństwo w stosunkach domowych, zbliżyło ją tem bardziej do Joanny. Wydano ją także z występną lekkomyślnością. Jak i pani de Maurecamps, tylko cokolwiek innemi drogami, uzyskała również gatunek rozwodu dobrowolnego, który tak często się zdarza w małżeństwach wielkoświatowych. Zaślubiła swego kuzyna d'Hermany, młodego człowieka, dość przystojnego, który atoli miał nawyczki i obyczaje prostego hultaja. Kronika skandaliczna utrzymywała, iż nie tylko prowadził dalej po ślubie życie kawalerskie, lecz nawet wciągnął w nie swoją żonę, bądź przez wyrafinowane zepsucie, które jest dziś dosyć w modzie, bądź po prostu przez wielką głupotę. Miał krążyć wraz z żoną po rozmaitych fetach świata więcej niż podejrzanego, dzielił z nią śniadanka kawalerskie, po kursach lub pojedynkach dawane, prowadził ją na kolacyjki do restauratorów najgorzej renomowanych. Opowiadano, iż podczas takiej kolacyjki, do której należał również jakiś książe zagraniczny, młoda kobieta, obrażona wyuzdaną rozmową, którą sobie wobec niej pozwalano, miała się wreszcie zbuntować i wypoliczkowała jednego z spółbiesiadników; jedni utrzymywali, że tym ukaranym był jej mąż, drudzy, że ów książe zagraniczny. Jakkolwiek się stało, po tym sławnym policzku, czy mąż go dostał, czy kto inny, poproszono pana d'Hermany, aby raczył odtąd za wdowca się uważać. Wcale się tem nie zmartwił; żona tak go przygniatała swoją wyższością, której nie mógł zaprzeczyć i takim go strachem nabawiała, iż zawsze podchmielił sobie trochę na animusz, nim się odważył wieczór u niej pokazać.

Tę historję, bardzo do prawdy zbliżoną, znała pani de Maurecamps, a dodawała do niej szczegóły z własnej duszy wysnute, które rzucały na tę całą sprawę urok poetyczny i robiły jeszcze więcej interesującą rolę, którą w owej historji odegrała pani d'Hermany. Wyobrażała ją sobie wepchniętą gwałtem, jasną i czystą, w ten świat bezwstydny, a widziała ją wychodzącą z tamtąd oburzoną, lecz bez plamy; lubiła stroić jej czoło cudowne w promienie dziewic męczeńskich. Cześć ta pochlebiała i rozczulała panią d'Hermany; pokochała panią de Maurecamps z mniejszym cokolwiek entuzjazmem, ale równie szczerze. Pełna dowcipu, wykształcona, po trochę artystka, była zdolną ocenić przymioty Joanny, a nawet kroku jej dotrzymać pod wielu względami. Wkrótce dowiedziała się wszystkich tajemnic Joanny, a i Joannie zdawało się, iż nawzajem panią d'Hermany na wskroś poznała i wybadała. Ich dwa życia zlały się niemal w jedno. Razem oddawały wizyty, zwiedzały magazyny, w jednej loży bywały w teatrach, razem uczęszczały na odczyty w *Sorbonie*, wreszcie zamieszkały w lecie tę samą willę w Dauville.

Tamto zdarzył się wypadek, który miał zostawić w umyśle pani Maurecamps pamięć niezatartą.

Chociaż bardzo ostrożne i uważające, dwie piękne przyjaciółki wiodły życie światowe, i były niezmiernie otoczone. Tak piękny zaprząg w parę — jak się wyrażał po swojemu pan d'Hermany — musiał przyciągać licznych wielbicieli. Ich paryscy danserowie, zaludniali brzegi morza, od *Trouville* aż do *Cabourg*. W zwyż tego, panowie de Maurecamps i d'Hermany, ze zwykłą u mężów przyjemnością, co soboty przywozili ze sobą kilku z młodzieży jako *en-cas*. Hołdy wszystkich tych dyletantów były przyjmowane bez pruderji, również jak i bez zbytniej poufałości, z tą łatwością spokojną i swobodną, która charakteryzuje kobiety wielkiego świata uczciwe, a czasem i takie, które już uczciwemi być przestały. Wieczorem, gdy te dwie panie wracały do swojego sam na sam, lubiły, za nim każda udała się do siebie, odbywać przegląd żartobliwy wszystkich z dnia tego aspirantów; nazywały to „rzezią niewiniątek,“ lub dla odmiany, „obrachunkiem ubitej zwierzyny po polowaniu przy pochodniach.“ Pani d'Hermany, prowadziła ten przegląd z dzikiem okrucieństwem. Między tymi, z którymi najgorzej się obchodziła, stał na samym czele młody człowiek, nazywany ogólnie pięknym Savillem, a który podług niej, był najnieznośniejszym i nagłupszym fadowiczem, jakiego poznała kiedykolwiek. Pani de Maurecamps mniej sroga, utrzymywała, że jest istotnie chłopcem ładnym i poczciwym. Na co odpowiadała jej śmiejąc się pani d'Hermany, że podziela co do wymuskanych *Blanc-bec'ów* gust pensjonarek i praczek. Co do niej, gdyby nie była raz na zawsze zrażona do kochania i kochanków, a to z nader ważnych powodów, miłością mógłby ją tylko natchnąć, człowiek wyższy duchem i dojrzały wiekiem; wtedy opisywała tego człowieka dojrzałego tak patetycznie, i z tak górnolotnego stanowiska, iż istotnie portret, do nikogo na świecie nie był podobny.

Pewnego wieczora, przy końcu sierpnia, Joanna wcześniej odeszła do siebie, aby pisać do matki, zanim się spać położy. O pierwszej godzinie po północy skończyła korespondencją. Noc była burzliwa; zbliżywszy się do okna, została olśnioną pysznemi błyskawicami, które przecinając w różnych kierunkach widnokrąg, konały w głębinach morza. Daleki huk grzmotu, niby ryk lwa z puszcz afrykańskich, tworzył godny akompaniament do tego widoku. Wiedziała, że pani d'Hermany, również lubuje się i podziwia tak piękne choć groźne zjawiska w naturze, myśląc zaś, iż jeszcze nie spi — powiedziała jej bowiem, iż także pisać będzie tego wieczora — zeszła na dół, i z lekka zapukała do pokoju przyjaciółki. Nie odebrawszy odpowiedzi, uznała iż spi zapewne. Wtedy zebrała ją chętka, wyjść samej na werandę, której szerokie arkady, wprost na morze wychodziły, aby ztamtąd lepiej jeszcze podziwiać efekt światła fosforycznego, odbijającego się w oceanie. Gdy otworzyła drzwi do salonu, trzymając świecę w ręku, dwie ludzkie postacie zerwały się nagle, i zarysowały w półcieniu w jednym z rogów salonu, przestraszona, lekko krzyknęła, tłumiąc krzyk natychmiast, skoro w jednej z tych postaci poznała panią d'Hermany, która

rzuciła się ku Joannie, porwała ją gwałtownie za rękę i syknęła przez zęby zaciśnięte:

— Cicho!

A obracając się do mężczyzny, który stał dotąd na środku salonu, mocno zaambarasowany:

— Wynoś się! — zawołała.

Ukłonił się i wyszedł przez ogród... był to piękny Saville.

Osłupiała w obec tego podwójnego odkrycia; pani de Maurecamps wypuściła z rąk lichtarz i świeca zagasła; stojąc przez chwilę niema i skamieniała, upadła wreszcie na sofę najbliższą, a zakrywszy twarz dłońmi w głos zaszlochała.

Pani d'Hermany, mimo ciemności, z włosami rozpuszczonemi, w nieładzie bachantki, szybkim krokiem przemierzała salon w szersz i w zdłuż. — Nagle zatrzymała się przed Joanną:

— Więc doprawdy miałaś mnię za świętą? — spytała.

— Tak! — odrzekła Joanna z rzewną prostotą.

Pani d'Hermany wzruszyła ramionami. Zrobiła kilka kroków i znowu stanęła:

— Jakżeś mogła uwierzyć w coś podobnego! Jak mogłaś pomyśleć, iż przeszłam bezkarnie przez kałużę, do której wtrącił mnie mój mąż nikczemny.

Joanna nie odpowiedziała; łkania dusiły ją.

— Cierpisz moje dziecię?

— Straszliwie!

— Chodź! odetchnij świeżem powietrzem; chodź!

Porwała Joannę za obie ręce, podniosła w górę gwałtem prawie, i pociągnęła za sobą na werandę. Tu posadziła ją na małej kanapce, a sama stojąc, oparła się o jeden ze słupów, galerję podtrzymujących. Wpatrywała się błędnym wzrokiem w morze, po którego powierzchni, migały dotąd błyski przelotne. — Po długiem milczeniu przemówiła wreszcie:

— Szaloną jesteś, biedna Joanno, szaloną, jakiemi jesteśmy wszystkie na progu życia!... Mój mąż w końcu, oddał mi wielką przysługę niechcący... rozpowinął mnię z pieluszek, uwolnił od zbytku ideałów. Trzeba przyznać, moja droga, że jesteśmy wszystkie dziwacznie wychowane... Te edukacje eteryczne wypaczają nam umysł... Prawdą jest, że nie masz nic na ziemi, — a lękam się że i w niebie również — coby mogło odpowiedzieć wyobrażeniu, które nam dają o szczęściu... Wychowują nas jako czyste duchy, a my jesteśmy po prostu kobietami córkami Ewy... niczem więcej... Jesteśmy więc zmuszone spuścić z tonu, lub umierać, żyć nie zacząwszy... Obok duszy nieśmiertelnej, siedzi w nas źwierzątko, cóż chcesz?... Ah! mój Boże, nikt nie rozpoczynał życia, z duszą wznioślejszą, od mojej; nikt zaręczam ci, nie mógł mieć ułud szlachetniejszych... polotu wyższego, odemnie... I cóż ztąd!... poznałam... cokolwiek może prędzej od innych, dzięki mojemu przezacnemu mężulkowi... poznałam, że wszystkie te mrzonki są bez celu, bez podstawy.. że nikt mnie nie rozumie, że mówię językiem nieznanym na naszym planecie... że jestem jednostką w moim rodzaju... trzeba więc było zdecydować się na upadek zwinąć skrzydła... i przyjąć wreszcie przyjemności, któremi jedynie świat ten może nas obdarzyć.. Wymarzywszy sobie miłość nadzwyczajną, musiałem zadowolnić się miłością najpospolitszą... gdyż innych niema... trzeba zaś spełnić swoje przeznaczenie, a przeznaczeniem kobiety jest kochać, i być kochaną... tak moja droga!... cóż chcesz? Jestem aniołem upadłym i próbuję wciągnąć ciebie w tę samą otchłań... nieprawdaż?... Taką jest myśl twoja... Czytam ją w twoich szeroko rozwartych źrenicach, ilekroć mignie błyskawica. Zresztą mamy i scenerję po temu!... to niebo i to morze w ogniu... a ja... z włosami w nieładzie, puszczonemi na cztery wiatry... i z czołem dumnie podniesionem, które zda się pioruny przyzywać... Nadzwyczaj poetycznie! Co?... Bądź jak bądź jestem ostatnią nędznicą, że ci to wszystko mówię!... zawsze dość czasu, aby dowiedzieć się o czemś podobnem...

— A więc na cóż mi mówisz to wszystko? — spytała Joanna uspokoiwszy się trochę.

— Alboż ja wiem? — wzruszyła ramionami zapytana. — Ach! Dzięki Bogu! deszcz pada!

Zbiegła po schodkach ganku i wystawiła głowę odkrytą, pod strumienie wody, które lać zaczynały. Potrząsała włosami, a chwytając wodę w dłonie, czoło sobie nią chłodziła.

— Wróć że Ludwiko, proszę cię! — odezwała się łagodnie pani de Maurecamps.

Weszła nazad po wschodkach, a stojąc przed Joanną rzekła tonem ostrym i wyniosłym:

— Trzeba nam się pożegnać, nieprawdaż?

— Dla czegoż? — zauważyła Joanna powstając. — Nie mam pretensji świat przeinaczać... Błagam cię tylko, nie wspominaj mi więcej o twoich miłostkach, ani nie pytaj mnie o moje... Co do reszty, będziemy się zgadzały jak dotąd... Twoja przyjaźń pozostanie dla mnie źródłem wielkiej pociechy... a moja, myślę, iż także zawadzać ci nie powinna...

Pani d'Hermany, pochwyciła ją gwałtownie w ramiona do piersi łkającej przyciskając:

— Dzięki! — szepnęła.

Wróciły do siebie. — We dwie godzin później, świt zastał Joannę nie rozebraną, siedzącą na brzegu łóżka, z twarzą gorączką pałającą, z oczami błędnemi, w dal zapatrzonemi, jakby czegoś w morskich głębinach szukały.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ORDYNAT.

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO

przez Helenę Wilczyńską.

(Ciąg dalszy).

Uroczystość w Ettersberg'u odbywała się w środku lata, a teraz był już koniec września. Młody Ordynat, objął tedy zarząd, nie można jednak powiedzieć, aby cokolwiek na lepsze się zmieniło; — przeciwnie, wszystko szło po staremu. Rządca na wielkie radcy nalegania, został wprawdzie oddalony, jednak mimo całej swojej nieudolności, z której — jak pan Rüstow złośliwie utrzymywał — mógł złożyć maturitatis, gdyby można składać egzamina w kierunku ujemnym, zostawiono go na miejscu aż do przyszłego Ś. Jana. Ani jemu, ani reszcie urzędników, nie dała się uczuć dłoń silna i energiczna, któraby potrafiła cugli przykrócić, i wszystkich zmusić do gorliwego pełnienia obowiązków. Edmund wprawdzie słuchał z nabożeństwem i wszelką rezygnacją, gdy papa Rüstow układał plany przyszłego w Ettersberg gospodarstwa, znosił cierpliwie ostre krytyki zarządu obecnego, zawsze radcy słuszność przyznawał, i za każdym razem dodać nie omieszkał: „że jutro z pewnością! rzeczy wezmą inny obrót, i on sam wglądnie we wszystko!" — To jutro jednakże wiecznie w chmurach zawieszone, nigdy jakoś w rzeczywiste dziś przemienić się nie chciało, i biedny radca, przekonywał się coraz bardziej, jak świętą prawdę mówił Oswald: „że Edmund wszystko obieca, ale nigdy niczego nie dotrzyma, i że, jeżeli Ettersberg ma być od ruiny niechybnej uratowany, radca sam musi się wziąć do tego dzieła odrodzenia".

I dawno byłby się Edmund oddał z oczyma zamkniętemi pod opiekuńcze skrzydła pana radcy, gdyby nie energiczny opór hrabiny matki, która nie chciała dopuścić, by ktoś z nią w szranki wchodził, i część bodaj panowania nad synem odbierał. To wywoływało częste spory między tem państwem, z częsta spokój familijny zakłócało. Chociaż Edmund, starał się zawsze sprzeczki łagodzić i spokój przywracał, po każdej żywszej utarczce, zostawał pewien kwas i zniechęcenie tak z jednej, jak z drugiej strony.

Uwielbienie pana radcy dla pięknej hrabiny i jej talentów salonowych, o wiele się zmniejszyło, gdy się przekonał, że nie zadawalnia się królowaniem w salonie, lecz i w gospodarstwie chce mieć głos decydujący, chociaż się na niem bynajmniej nie rozumie. Matka Edmunda nawzajem zauważyła: „że pan Rüstow jest bezwględny, nie dość delikatny, i bądź co bądź strasznie go czuć parwenjuszem. Harmonja zatem dwóch rodzin, była mocno nadwerężona, i ciemne chmury, burzę zapowiadające, nad Ettersberg'em gromadziły się powoli.

Od tego wszystkiego, trzymał się Oswald konsekwentnie z daleka. Więcej niż kiedykolwiek uważał się obecnie za zupełnie obcego w domu, które wkrótce miał na zawsze opuścić. Studja do ostatnich adwokackich egzaminów, tak mu wyłącznie czas zajmowały, iż raz na zawsze uwolnił się od wszelkich wizyt i światowych powinności, prawie nie wychodząc ze swojego pokoju.

Chwila ostateczna odjazdu jego nadeszła. Wizyty pożegnawcze były pooddawane, interesa wszelkie w Ettersberg załatwione; pojutrze miał na zawsze gniazdo swoje rodzinne opuścić.

Od owego balu i walca nieszczęsnego, który pozbawił go chwilowo zwykłego zastanowienia, lecz z drugiej strony, w świetle błyskawicznem pokazał mu otchłań bezdenną, gdzie go wiodła namiętność bez nadzieji, nie był więcej w Brunneck, mimo iż i tam obchodzono solennie zaręczyny młodej pary. Wymówił się wtedy brakiem czasu i złem zdrowiem, co zupełnie potwierdzało nader mizerne wyglądanie. Teraz atoli nie dało się ominąć z pożegnaniem, domu tak blisko z nim spokrewnionego. Zwlekał do ostatniej chwili, wybierał się zawsze z Edmundem, wreszcie zdecydował się być w Brunneck sam, gdyż Edmund był na polowaniu w sąsiedztwie i miał dopiero późno wieczór powrócić. Narzeczoną swojego kuzyna widywał od czasu do czasu w Ettersberg, gdyż tam z często po kilka dni bawiła, ale nigdy odtąd dwóch słów z nią nie zamienił. W pałacu przygotowywano już apartamenta dla przyszłych młodych małżonków, które miały być z niezwykłym comfortem i elegancją urządzone.

W Brunneck, jak zwykle przed obiadem, siedział radca w pokoju balkonowym z gazetą w ręku, panna Lina zaś przeglądała stosy próbek, i rozkładała rozmaite kobiece fatałaszki, których całe paki codzień niemal ze stolicy przysyłano, na wyprawę dla bogatej i ubóstwionej jedynaczki.

Radca nie zdawał się wyłącznie zajęty czytaniem, przewracał tylko od niechcenia arkusze, z po za nich, raz po raz na Linę spoglądając. Wreszcie zawołał zniecierpliwiony:

— Czy ty już nigdy nie skończysz z temi szmatami, Lino? Czemu nie każesz sobie Jadzi pomódz?

Zapytana wzruszyła miłosiernie ramionami:

— Jadzia mi właśnie oświadczyła, że spuszcza się na mój gust we wszystkiem. Rada, nie rada, muszę więc sama wybierać.

— Nie pojmuję dla czego ją to tak mało interesuje. Idzie przecież o jej własną wyprawę. Dawniej podobne fatałaszki, zajmowały ją wyłącznie.

— Taak... dawniej! — Lina z naciskiem odrzuciła.

Rozmowa całkiem ustała. Radca tarł czoło i wąs targał, jakby miał coś na sercu, wreszcie ze zwykłą żywością odrzucił gazetę daleko od siebie, a zrywając się na równe nogi, tak przemówił:

— Dawno już zbieram się pomówić z tobą w pewnej kwestji Lino. Jadzia wcale mi się nie podoba!

— I mnie nie! — mruknęła półgłosem stara panna, unikając przytem starannie badawczego wzroku kuzyna.

— Nie? — krzyknął Rüstow okrutnie zaperzony. U niego smutek każdy, zwykł się był złym humorem objawiać. — Myślałem wręcz przeciwnie. Zawsześ Jadzi zarzucała brak uczucia, ślizganie się po wierzchu życia... no dzisiaj możesz być z niej zupełnie zadowoloną. Bierze życie tak na serjo, i tak zgłębia jego tajniki, że już nawet śmiać się zapomniała. Najmniejszego uporu, nawet kaprysów nie miewa! Jak Boga kocham desperacja z tą dziewczyną! Przyjdzie człowiekowi z domu uciekać!

— Dla tego, że Jadzia oduczyła się uporu i kaprysów nie wyprawia?

Pan Rüstow w zamyśleniu pominął ironję w tem pytaniu zawartą:

— Co się z nią stało? — zapytał ręce załamując. — Gdzie moje dziecię wesołe, roztrzepane? Gdzie mój Chochlik luby, wyprawiający psoty i figle przez cały dzień? Chcę i muszę to wiedzieć!

Stanął w groźnej postawie przed Liną, z rękami na piersiach skrzyżowanemi, jakby się na serjo do walki gotował.

— Patrzysz na mnie, tak wściekle, jakbyś mnie zjeść miał — wzruszyła Lina ramionami. — Ja przecie twojemu dziecku nic złego nie zrobiłam!

— Musisz jednak wiedzieć, co się to wszystko znaczy — wtrącił radca impetycznie. — Nawet wiedzieć powinnaś!

— Trudno wiedzieć, jeżeli do kogo nie mają zaufania — Lina z niechęcią zauważyła. — Nie byłam nigdy powiernicą Jadzi, a najmniej teraz. Bierzesz jednak za nadto do serca te rzeczy, i niepotrzebnie się tak niemi alterujesz. Prawda że Jadzia bardzo spoważniała, no! to przecież całkiem naturalne. Zamęście jest chwilą tak ważną w życiu kobiety. Opuści dom rodzicielski, wejdzie w zupełnie nowe stosunki, będzie miała nie jedno do zwalczenia i do zniesienia. Spodziewam się jednak, że gdy raz będzie po ślubie, poczucie obowiązku wzmocni jej ducha, i będzie dla niej dostateczną podporą.

— Poczucie obowiązku! — powtórzył radca przerażony. — W imię Ojca i Syna! a toż co znowu nowego? Czyż nie odegrali przed ślubem całego, najczulszego romansu, à la Romeo i Julja? Czyż nie zmusili nas starych temi wybuchami miłości wulkanicznej, aby małżeństwem ją czem prędzej zakończyć? Czyż Edmund nie jest wzorem najgłupiej, i po same uszy zakochanych narzeczonych? Czyż jej nie otacza tysiącznemi dowodami ognistej miłości? Ty tam zresztą — machnął ręką niecierpliwie — tyle się na tem rozumiesz, co ślepy na kolorach! Ale ja ci powiem, że jeżeli żona nic więcej nie wnosi mężowi do domu, prócz zimnego poczucia obowiązków, to takie małżeństwo według mego zdania, torby sieczki nie warte!

Cały wzburzony zaczął biegać po pokoju.

— Nie zrozumiałeś mnie kuzynku — uspakajała go Lina. — Chciałam tylko powiedzieć, że i Jadzia musiała spoważnieć, myśląc o czekających ją przejściach i nowych obowiązkach jako pani na Ettersberg'u. Stosunki tamtejsze, nie zdają się być tak zupełnie cierni pozbawione.

W uniesieniu Rüstow nie zauważył chęci zwrócenia rozmowy na inne tory, i od razu połknął rzucony mu haczyk.

— Co nie, to nie! — zawołał. — Jeżeli tak dalej pójdzie, między mną a hrabiną przyjdzie do otwartej wojny! Wszystkie moje plany i perswazje, rozbijają się jak o skałę granitową, o jej arystokratyczne muchy w nosie! o jej upor niczem nie pokonany, i o bojaźń dziecinną, aby chroń Boże! nie spuścić na włos cienki z pańskiego tonu! A tu periculum in mora! ruina, zupełna ruina, tego prześlicznego majątku, wisi nam nad głową jak miecz Damoklesa! Najpotrzebniejsze reformy odrzuca bez zastanowienia, skoro ich nie otacza nimbus wymarzonej przez nią wielkości, i do tych w pierwszej linji należałby ład i oszczędność, o której hrabina, ani słyszeć nie chce! Właściwy zaś pan i ordynat na Ettersberg'u, jest kompletnie do niczego! Myśli, że już Bóg wie jakie zrobił wysilenie, jeżeli z rządcą odbył półgodzinną konferencję. W ogóle, leży plackiem u nóg swojej pięknej mamy, widząc w niej uosobistnioną mądrość i doskonałość! Jadzia pod tym względem będzie miała twardy orzech do zgryzienia, i powinna z kopyta wziąć się do zawojowania męża, jeżeli nie chce żeby mamuńcia na drugi plan ją usunęła.

Radca byłby jeszcze nie prędko skończył rekryminacje i narzekania na muchy w nosie hrabiny Emmy, gdyby mu nie był ust zamknął powóz zajeżdżający przed ganek.

Lina wyjrzała na dziedziniec.

— Pan Ettersberg przyjechał — rzekła, oddając ukłon za ukłon przez okno otwarte.

— Ah! Oswald! — wtrącił radca. — Zapewne z pożegnaniem. Słyszałem, że odjeżdża temi dniami. Każ proszę cię Jadzię zawołać, musi być w parku.

Lina się zawahała:

— Nie wiem doprawdy... myślę iż poszła do lasu, że jej wcale nie znajdą... Zresztą, możemy przecież sami przyjąć pana Ettersberg'a.

— No, to by było więcej niż niegrzecznie — obruszył się radca — gdyby nawet nie przyszła pożegnać tak bliskiego krewnego! Trzeba koniecznie wysłać służącego, niech ją odszuka i o wizycie uwiadomi.

Chciał zadzwonić, ale Lina go wstrzymała.

— Sama to załatwię — rzekła powstając, i wyszła z salonu. Wiedziała bardzo dobrze, że Jadzia jest w kiosku chińskim na końcu ogrodu, rozkaz jednak sprowadzenia jej ztamtąd, został niewydanym.

Gdy wróciła do salonu, zastała tamże Oswalda. Istotnie przyjeżdżał z pożegnaniem, pojutrze chcąc odjechać nieodwołalnie. Mówiono o tem i owem, a po kwadransie wstał, utrzymując, iż ma jeszcze niesłychanie wiele na głowie przed odjazdem. Radca tłumaczył jak mógł nieobecność córki, Oswald grzecznie ubolewał, iż nie będzie mógł pannie Jadwidze osobiście złożyć słów najpowinniejszych pożegnania, prosi zatem, aby raczono pożegnać ją w jego imieniu, i po tej wymianie czułości i komplementów, wyszedł odprowadzony aż na ganek przez radcę, wsiadł do powozu i konie galopem z miejsca ruszyły.

Radca żegnał swojego ulubieńca ciężkiem westchnieniem, natomiast Lina, patrząc za oddalającym się powozem, odetchnęła całą piersią, jakby jej olbrzymi ciężar spadł z serca.

Oswald wcisnął się w kąt powozu. Pragnął wmówić w siebie, jakoby go mocno cieszyło, iż odbył pożegnanie oficjalne, nie widząc wcale Jadwigi; a jednak, jednak... mimo iż się tej chwili obawiał, może i tęsknił do niej...

— Skończyły się wreszcie — myślał w duchu — walki straszne, których nikt się wprawdzie nie domyślał, które nie mniej atoli groziły zwichnieniem całego życia jego, podeptaniem zasad, w których dotąd był nieugiętym. Nie uległ zgubnej namiętności, nie zdradził brata i przyjaciela. Odjeżdża na zawsze. Oddalenie pomoże mu wyjść z tego koła zaczarowanego, zrzuci ze siebie urok niebezpieczny, który nim owładnął, skoro spojrzał po raz pierwszy w te oczy szafirowe, tak promieniste, tak ponętne! Jeżeli nie potrafi całkiem o niej zapomnieć, to przynajmniej stanie pomiędzy nimi zapora nieprzełamana. Z całą energją rzuci się do pracy, do swojego trudnego zawodu, w nim będzie szukał pociechy i ukojenia...

Gdy te piękne maksymy wymiawiały z cicha drżące usta Oswalda, serce biło mu gwałtownie, jakby pęknąć miało; tęsknota niewypowiedziana pierś mu rozpierała, a głos tajemny odzywał się w duszy: „Czemuż nie mam jej ten raz jeszcze zobaczyć? Wszak to pożegnanie ostatnie... na wieki!...

W tem na zakręcie drogi mignął mu kiosk przed oczyma, a w nim na ławeczce Jadwiga w okrągłym kapelusiku, i w różowej sukience. Rozbiły się w puch skrupuły i zasady, szarpnął za ramię stangreta, a rozkazawszy, by na niego we wsi czekał, jak piłka wyleciał z powozu, jednym susem rów szeroki, park okalający, przeskoczył, i pędem wbiegł furtką do parku, Furtka służyła Jadzi do wycieczek na wieś, o połowę prawie drogę zbliżając, i przypadkiem była otwarta.

Niedaleko od altany, opamiętał się cokolwiek i zwolnił kroku. Gdy skłaniał głowę przed Jadwigą, był już znowu panem siebie, wyglądał zimno, sztywnie, i witał narzeczonę przyjaciela ceremonialnie, jakby mu zupełnie była obojętną.

— Właśnie pożegnałem się z ojcem pani — przemówił głosem spokojnym — a widząc cię z daleka, chociaż poleciłem panu radcy, aby raczył powtórzyć pani moje słowa pożegnalne, nie mogłem przenieść na sobie, aby tego osobiście nie dopełnić.

— Więc pan już tak prędko opuszczasz nasze strony? — szepnęła mocno zmięszana.

— Pojutrze odjeżdżam nieodwołalnie.

— Edmund już mi o tem wspominał. Będzie mu bardzo tęskno za panem.

— I ja uczuję boleśnie rozłączenie z nim. Ha! cóż robić! Życie to bojowanie. Nie jednej ofiary, nie jednego rozłączenia od nas wymaga.

Uwaga była rzucona od niechcenia, z uśmiechem na ustach, młoda dziewczyna zbladła jednak, jakby ją coś za serce ścisnęło, i lekko drzącą dłonią o stół się oparła.

Obawy radcy były cokolwiek przesadzone. Silna natura Jadzi, opierała się dotąd fizycznie, temu czemuś tajemniczemu, co tak dziwnie na jej usposobienie wpłynęło, iż nawet oduczyła się uporu i kaprysów. Twarzyczka była dotąd pełna i rumiana. Wszak i kwiat nie odrazu więdnie, i nie odrazu traci woń i barwę, gdy go się pozbawi słońca promieni, jednak znać zaraz na nim cień złowrogi. I Jadzia nie straciwszy krasy młodości, zmieniła się nie do poznania. Nie był to już ów luby trzpiotek, wiecznie uśmiechnięty i wiecznie figlujący. Na jej jasnem dotąd czole chmurka smutku osiadła, cień padł na jej lica różane, a oczy, niegdyś tak promieniste, jakby przez mgłę patrzyły. Od owego balu, pojawiał się w tych ciemnych źrenicach gość, aż do tego czasu zupełnie im nieznany... łzy!

— Przyznajesz pan przecie — przemówiła po chwili — że i tobie ciężko będzie ztąd odjeżdżać?

— Niezawodnie! Nieraz, wśród stolicy, zatęsknię za Edmundem i... za naszemi górami...

— A za Ettersberg'em?

— Nie!

To *nie* zabrzmiało tak szorstko i decydująco, że Jadwiga drgnęła i zmierzyła go wzrokiem zdziwionym.

— Daruj pani — Oswald zaczął się tłumaczyć. — Zapomniałem w tej chwili, że Ettersberg stanie się wkrótce twoją ojczyzną. To słowo odnosiło się jedynie do przykrych stosunków, które tam znosić musiałem, a nie do samej miejscowości. Znasz je pani dokładnie, nie potrzebuję więc bliżej tychże opisywać.

— Stosunki jednak wygładziły się i złagodniały. Wszak nie stawiano panu żadnych przeszkód w jego zawodzie?

— Gdyż umiałem sobie zdobyć niezależność. Była to jednak walka straszna, zacięta! Z moją stryjenką sprawa nie łatwa. Obyś i pani tego kiedy nie doświadczyła!

— Ja? — spytała Jadwiga ze zdumieniem. — Nie

spodziewam się być kiedykolwiek w tem niemiłem położeniu, abym musiała walki staczać z matką mojego męża przyszłego.

Zmierzyła go okiem nader niełaskawem, dumnie się wyprostowując, on jednak bynajmniej tem nie zmięszany, tak dalej mówił:

— Może to niedelikatnie z mojej strony, poruszać kwestję tak drażliwą; może nawet pani przysłuża prawo, dać mi uczuć, całą niewłaściwość mięszania się w nie moje sprawy; a jednak miałbym na sumieniu, gdybym odchodząc ztąd, nie przestrzegł pani przynajmniej. Stryjenka często wspomina o przeniesieniu się po ślubie syna, do majątku dla niej przez męża kupionego. Edmund dotąd nie chce wcale o tym projekcie słyszeć, w czem go i pani utwierdzasz. Nie rób pani tego na przyszłość... przeciwnie, użyj całego twojego wpływu na Edmunda, aby pozwolił matce w Schönfeld zamieszkać. Winnaś to pani uczynić dla twojego i męża szczęścia i spokoju. W Ettersberg nie byłoby dla ciebie miejsca, gdyby dawna pani tamże została, występując do walki z tobą, uzbrojona w zastarzałe przesądy i nieprzyjaźń.

— Nie rozumiem cię, panie Ettersberg! — zawołała Jadwiga z oburzeniem. — Przesądy? Nieprzyjaźń? Nie myślisz przecie Dornau? Proces ten dawno już umorzony.

— Nie o proces mi idzie, lecz oto, co było do niego powodem. Pani nie możesz wiedzieć, kto dziadka twojego podniecał do wojny z córką, i ostatecznie doprowadził niedołężnego starca do wyrzeczenia się tejże i zupełnego ignorowania jej związku z mieszczuchem (jak się o panu Rüstow w kołach arystokratycznych wyrażano.) Ojciec twój atoli dobrze o tem pamięta, i jeżeli sądzi, że hrabina Ettersberg zmieniła się pod tym względem, wielce się myli. Dała się porwać chwilowemu uniesieniu, wrażeniu nagłemu, które na niej wywarło niebezpieczeństwo, tak szlachetnie, z narażeniem życia własnego, przez pana Rüstow usunięte. W przystępie głębokiej wdzięczności, znaglona zresztą syna prośbami, którego kocha namiętnie, pozwoliła na wasz związek. Prędzej czy później, będzie żałowała tej uległości, jeżeli dziś już jej nie żałuje. Edmunda za nadto kocha, aby jemu dać uczuć żal poniewczasie, ale na pani mścić się będzie, żeś ją zmusiła do odstąpienia zasad arystokratycznych, z takim zapałem dotąd przez nią wyznawanych.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

GENJALNY INŻYNIER.

NOWELLA.

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

VII.

Miłość dla dumnej arystokratki z każdą chwilą rosła gwałtowniej w sercu Harolda; nie próbował nawet z nią walczyć. Cztery dni spędzone w Ulverscroft, wystarczyły na to, żeby zapomniał o wszystkiem, co się nie odnosiło do hrabianki; teraźniejszość tak go olśniewała, że nie myślał nawet o przyszłości.

Lord Andley był zachwycony swoim gościem, prosił go o przedłużenie pobytu w Ulverscroft. Harold kochał po raz pierwszy, kochał całą siłą młodzieńczego uczucia, nie śmiejąc się przyznać przed sobą do tej miłości; wiedział, że miss Liliana była dla niego niedostępną, jak gwiazdy i słońce, ale nie miał siły walczyć ze swojem sercem. Jakim cudem mógł w takiem usposobieniu prowadzić budowę mostu? było to dla niego zagadką. Zmuszony był zrywać się rano i biedz nad rzekę przed śniadaniem, żeby zarządzić robotami, bo jeżeli ujrzał hrabiankę choćby na chwilę, jeżeli usłyszał srebrzysty dźwięk jej głosu, już nie był zdolny zająć się niczem.

Zauważył, że Liliana niezmiernie lubi kwiaty, każdego więc poranku sam zbierał je w ogrodzie i ułożywszy z nich bukiet, kładł na jej talerzu. Pierwszego dnia zaledwie spojrzała na pyszne róże purpurowe i zostawiła je przez zapomnienie na stole; nazajutrz podniosła bukiet i zabierając go z sobą, pytająco spojrzała w około, nie wiedząc od kogo ten dar pochodzi.

Hrabianka codzień okazywała mu więcej uprzejmości i zaufania.

Tego samego dnia wieczorem spotkała Harolda w cieplarni i zaczęła z nim mówić o kwiatach.

— Czy pan wierzysz w to, że można poznać charakter osób po kwiatach jakie lubią? — zapytała hrabianka.

— Nie pani — odrzekł młodzieniec — gdyż na dwadzieścia osób, ośmnaście będzie wolało różę niż lilię, a każda z nich inny będzie miała charakter. Jakie są pani ulubione kwiaty?

— Otóż ja nie należę do tych ośmnastu i powiem, że najlepiej lubię konwalię, a potem hjacenty; są to najpiękniejsze kwiaty.

Nazajutrz rano znalazła na stole bukiet śnieżnych i wonnych konwalij, błyszczących jeszcze kroplami rosy. Wiedziała teraz od kogo pochodzą i zwróciwszy oczy na Harolda, spotkała się z jego niespokojnem wejrzeniem. Silny rumieniec oblał jej lica, oczy spuściły się przed ognistym, pełnym uwielbienia wzrokiem młodzieńca.

Chętnie z nim dłuższe prowadziła rozmowy, z zajęciem słuchając jego słów pełnych rozumu i zapału.

Harold odsłaniał przed nią nowe horyzonty, rozwijał poglądy zupełnie różne od przekonań panujących w jej sferze, ukazywał jej ten świat pracy, którego dotąd nie znała. Godziny nieznacznie upływały na rozmowie, która nigdy nie wydała się hrabiance zbyt długą.

Jednego poranku wstała wcześniej niż zwykle i wyszła na wschodni taras, żeby odetchnąć świeżem, wonnem powietrzem; przy drugim końcu tarasu był Harold. Na zielonem tle liści odbijała się jego kształtna, wysmukła postać, na wyniosłem czole jaśniał geniusz, w oczach malowało się uczucie. Hrabiankę po raz pierwszy może uderzyła niepospolita jego uroda.

— Na pierwszy rzut oka można poznać szlachcica — pomyślała — inaczej wyglądają ludzie nizkiego pochodzenia.

Musiała coś wyczytać w jego oczach, gdyż zamiast zbliżyć się do niego, szybko odeszła zapłoniona. Na stole w sali jadalnej przygotowany dla niej bukiet składał się z najpiękniejszych róż — symbolu miłości.

— Ojcze — rzekła miss Liliana, przerzucając dzienniki w bibliotece — czyś zauważył, że pan Vibart jest wcale ładnym mężczyzną?

— O tak — odpowiedział hrabia — jest nietylko pięknym, ale nader dystyngowanym; rzadko się spotyka tak niepospolitą postać. Vibartowie to dobra szlachecka rodzina, o ile się zdaje, ale ten młodzieniec jest tylko przybranym synem sir Ryszarda.

— Musi być jednak jego krewnym, gdyż to samo nosi nazwisko. Prawda ojcze, że on nie podobny do innych ludzi.

— Nic dziwnego, moje dziecię, Harold ma geniusz, a przytem duszę poety i umysł niepospolity; żaden ze znajomych mi młodzieńców nie może się z nim równać. Uwielbiam go i kocham zarazem; jestem pewny, że kiedyś imię jego będzie sławne w całym świecie.

— Istotnie, ojcze?

— Ten człowiek pójdzie wysoko, bardzo wysoko.

Hrabianka zadumała się nad przepowiednią ojca.

Nad błyszczącemi wodami rzeki stali znów Harold i miss Liliana. Wracając od budowy mostu, spotkał ją przechadzającą się w parku, złożywszy głęboki ukłon zatrzymał się i towarzyszył jej nad brzeg rzeki.

Upojony szczęściem, tonął oczyma w tej czarownej twarzy, chwytał każdy dźwięk jej głosu.

Hrabianka zatrzymała się spoglądając z zachwytem na fale rzeki, błyszczące w złotem świetle poranku, na świeżą zieleń murawy ubarwioną kwiatami, i zawołała:

— Ach! to prawdziwie kraj czarów.

— Nie pani, to kraj miłości — rzekł Harold — czy znasz miss Liliano barkarollę Gounoda?

— Nie słyszałam jej.

— A więc pozwól mi powtórzyć jedną jej zwrotkę.

— Dobrze, — szepnęła miękkim głosem.

Harold z uczuciem wypowiedział ostatnią zwrotkę barkarolli.

Dziewczę słóweczko rzuć,
Gdzie z tobą płynąć mam?
Skrzydłem drga lekka łódź
I zefir sprzyja nam.

Zawieź mię mój jedyny
Do wierności krainy,
Gdzie wieczna miłość trwa!

Takiej krainy, o dziecię,
Niema wcale na świecie
Bo tylko niebo ją ma.

Milczenie zapanowało między nimi. Hrabianka pytała się w duszy, dlaczego serce jej silniej bije, dlaczego lica płoną, dlaczego dziwne ogarnia ją wzruszenie. Co to jest? co się z nią dzieje? Książęta i hrabiowie nieraz piękniejsze przytaczali poezje, a jednak słuchała ich obojętnie, ale bo też żaden hrabia ani książe nie miał tak dźwięcznego głosu, tak wymownych oczu, tak porywającego uczucia, jak ten młody inżynier. Po raz pierwszy w życiu uczuła się zmięszaną i niespokojną. W tej chwili zamienili z sobą role, on zapanował nad nią całą potęgą męzkiego ducha, całą siłą wyższości moralnej i umysłowej, całą mocą miłości, która nie zna granic i przeszkód.

Hrabianka nie wiedziała co się z nią dzieje? Ona co dawniej śmiała się z miłości, żartowała z wielbicieli, teraz płonie jak róża i spuszcza oczy przed wzrokiem młodzieńca. Nie, hrabianka nie podda się wzruszeniu, choć ono słodkie jest i nieznaną rozkoszą napełnia jej serce; oprze się wpływowi męzkiego głosu i nie pozwoli nikomu się domyśleć, że słowa tak wielkie na niej sprawiły wrażenie.

— Dosyć ładna poezja — rzekła, siląc się na obojętność.

Harold na to nic nie odpowiedział, przez chwilę szli w milczeniu nad wodą.

— Nigdy nie zapomnę dni spędzonych w Ulverscroft — zaczął — niejeden jeszcze wspaniały zobaczę zamek, niejedną piękną ujrzę damę, ale żaden gmach na świecie nie wyda mi się milszym, żadna kobieta — przebacz miss Liliano — tak uroczą jak pani. Wspomnienie to będzie mi świeciło do końca życia; nie wiem tylko, czy będę przeklinał czy błogosławił chwilę, w której tu przybyłem.

— Dlaczego miałbyś ją pan przeklinać? — zapytała łagodnie.

Krew płomienną falą uderzyła mu do głowy, a potem nagle zbiegła do serca.

— Ach! gdybym śmiał pani wyznać! — zawołał — ale ty musisz wiedzieć miss Liliano, ty, co jesteś tak piękną, że wszyscy mężczyźni wielbią cię jak bóstwo, ty wiesz...

— Nie wiem — odrzekła cicho.

— Nie wiesz pani jak ginie ćma znęcona blaskiem światła? im jaśniej płonie to światło, tem okrutniejsza śmierć ją czeka. Taki sam los stał się moim udziałem; czy mi przebaczysz, że ośmielam się mówić?...

— Mów pan...

Żaden utytułowany wielbiciel nie doznał jeszcze podobnej zachęty.

— Wiem, że nie mogę mieć nadziei — mówił Harold — zbyt wielka przestrzeń dzieli bogatą hrabiankę od człowieka pracy, który sam sobie winien wszystko. Czuję, że popełniłem szaleństwo, ośmielając się pokochać ciebie miss Liliano, ale dłużej milczeć nie mogę... Spiorunuj mię pani swoją pogardą, odwróć się z nienawiścią od zuchwalca, co poważył się podnieść oczy na ciebie — wszystko zniosę w milczeniu, jako zasłużoną karę. Jednej tylko rzeczy nie wymagaj odemnie — oto, żebym zabił moje serce, żebym się wyrzekł miłości, która jest mojem szczęściem.

Miss Liliana z mimowolnem wzruszeniem słuchała tego potoku ognistych słów.

— Nie jestem skłonna ani do pogardy, ani do nienawiści — odrzekła nakoniec.

— Rozumiem panią — zawołał z goryczą — stoję tak nisko, że nie raczysz nawet gniewać się na mnie.

W milczeniu potrząsła głową i schyliła się, żeby zerwać kilka niezapominajek, kwitnących nad strumieniem.

— Nigdy mnię już pani nie ujrzysz, nigdy nie usłyszysz słów podobnych. Jeżeli kiedy przyjdzie ci na myśl wspomnienie tej chwili, rozśmiejesz się szyderczo i powiesz sobie: „Jakiż to zarozumiały szaleniec! Nie posiada ani tytułu, ani majątku, ani odpowiedniego stanowiska i ośmiela się mnie kochać, a co gorsza jest tak zuchwały, że mi to wyznaje.“

— Nigdy nic takiego nie powiem, — szepnęła, schylajac głowę.

— Wyśmiejesz mnię pani i wyszydzisz niezawodnie — mówił Harold z boleścią — czemże jestem wobec najpiękniejszej i najdumniejszej dziewicy w Anglji?

Podniosła spuszczone powieki i spojrzała na niego z wymówką.

— Pan posiadasz geniusz, dar droższy i rzadszy niż piękność, tytuł i majątek.

— Nawet geniusz nie zdoła zapełnić dzielącej nas przepaści, pod tym względem nigdy się nie łudziłem, nigdy najlżejszej nie miałem nadziei. Z dumą odtrącałaś zabiegi książąt i hrabiów...

Błękitne kwiatki drżały w jej ręku, złotowłosa główka pochyliła się.

— Nie kochałam ani księcia ani hrabiego — szepnęła miss Liliana.

— Wiem o tem, serce pani nie zna jeszcze miłości. Zanim się oddalę ztąd na zawsze, powiem ci miss Liliano, że żaden człowiek na świecie tak cię nie pokocha. Możesz mię skarcić, możesz zdeptać moje serce i z oburzeniem odtrącić od siebie, ale pamiętaj pani, że tak wielkiej miłości nikt ci już nie poświęci.

Nic nie odpowiedziała, ale ręce jej coraz więcej drżały.

— Latami cierpień okupię te kilka chwil szczęścia — zawołał Harold — odejdę ztąd z duszą zbolałą, z sercem na zawsze złamanem... Miłość moja skończy się...

Wzruszenie stłumiło głos młodzieńca. Hrabianka spojrzała na niego z litością.

— Bardzo mi przykro, — wyjąkała.

— Dlaczego? — przerwał Harold — czyż to pani wina? Tak samo mógłbym mieć żal do gwiazdy, że błyszczy na niebiosach.

— Niemniej mi przykro, że pan cierpisz przezemnie — powtórzyła.

— Że ja cierpię! — zawołał. — Ach mój Boże! czy pani wiesz co to jest cierpienie, ty co dotąd stąpałaś po różach jedynie... Czy pani wiesz, co to jest ból serca, nigdy niezaspokojona tęsknota zatruwająca życie? Oby Pan Bóg oszczędził ci takich katuszy.

— Nikt nie wie, co mu przyszłość gotuje, — odrzekła, rzucając złamane gałązki niezapominajek.

— Pani nigdy nie zaznasz co to jest nieszczęśliwa miłość — rzekł Harold — jeden twój uśmiech, jedno spojrzenie musi podbić każde choćby najoporniejsze serce... Zaklinam cię pani przebacz mojej śmiałości i wspomnij o mnie niekiedy, pamiętaj że cię kocham nad życie, że do ostatniej chwili ty będziesz jedyną myślą i miłością moją.

Na pięknej jego twarzy malowała się rozpacz bez granic; hrabianka położyła mu rękę na ramieniu.

— Wierz mi pan — rzekła przyciszonym głosem — gardzę swoją pięknością, kiedy zatruła ci życie. Nigdy nie zapomnę tej chwili, ani słów które do mnie mówiłeś; przyrzekam ci to.

— Pani jesteś aniołem! — zawołał z uniesieniem — pozwól mi wielbić cię zdaleka.

Tkliwe wzruszenie odbiło się na twarzy hrabianki.

— Będę zawsze przyjaciółką pana, ale nigdy — niczem więcej... Rozumiesz mię pan, nigdy. Nawet, gdybym cię pokochała, nie mogłabym, nie!

— Wiem o tem — odrzekł Harold — nigdy nie śmiałbym tego żądać. Rozumiem, że to niepodobieństwo, ale pani się gniewasz, miss Liliano?

— Nie.

— Pani mi przebaczasz?

— Nie mam nic do przebaczenia; miłość pana przynosi zaszczyt tej, która się stała jej przedmiotem.

— Więc dbasz o mnie?

— Tak — przyznała — ale to być nie może... nigdy, nigdy... Teraz musimy się rozstać.

Wyciągnęła do niego rękę, którą on przycisnął do ust.

— Żegnam cię pani — zawołał — żegnam na zawsze... Błagam cię tylko o wspomnienie, nic więcej nie żądam...

Hrabianka oddaliła się wolnym krokiem.

Inżynier uwiadomił lorda Andley, że dłużej nie może pozostać w jego domu i tego samego dnia wyjechał z zamku, zabierając z sobą... złamane gałązki niezapominajek. (C. d. n.)

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.